

Europa w czasach zarazy

17 maja 2014

W eurosceptycznej Wielkiej Brytanii i w euroentuzjastycznej Polsce dużo się mówi o Europie, ale oba kraje są praktycznie wykluczone z międzynarodowej debaty na temat kształtu i przyszłości Unii. Na własne życzenie.

Antyemigracyjna retoryka Davida Camerona poskutkowała przynajmniej jednym pozytywem. Obudziła z letargu Polaków mieszkających na Wyspach. Polscy emigranci zajęci do tej pory głównie pracą i rodziną nagle spostrzegli, że stali się podmiotem politycznym. Do rozbudzenia pełnej politycznej świadomości oraz zdefiniowania i wyartykułowania interesów grupowych droga jeszcze daleka, ale odbywające się w przyszłym tygodniu wybory samorządowe i europejskie cieszą się wśród Polonii znacznie większym zainteresowaniem. Przynajmniej deklaratywnie. Zrozumieliśmy, że uczestniczymy już na dobre w życiu społecznym i politycznym Wielkiej Brytanii oraz zjednoczonej Europy. Wreszcie jesteśmy gotowi, żeby od czasu do czasu posłuchać polityków. Tym większa szkoda, że zarówno brytyjskie, jak i polskie elity w sprawie Unii nie mają nic ciekawego do powiedzenia.

Wyborcza kampania do Parlamentu Europejskiego sprowadza się do spraw lokalnych, a organizacje pozarządowe, które namawiają do udziału w wyborach, skupiają się na banalnej „postawie obywatelskiej”, stawiając na apolityczność. Ma to swoje konsekwencje. Elektorat, zamiast obserwować debatę na temat realnych problemów Unii Europejskiej, uczestniczy w typowym politycznym cyrku. Kandydaci na europosłów zręcznie żonglują retoryką, zioną ogniem w kierunku oponentów, balansują na PR-owskiej linii, straszą politycznymi bestiami i jak zwykle robią z siebie kłownów. Jak w każdym cyrku, dużo w tym wszystkim rozrywki, ale mało treści i jakości.

W tym kontekście wysiłek organizacji pozarządowych, także tych

polonijnych, od Polish Professionals do Polish City Club, namawiających do uczestnictwa w wyborach może zostać zmarnowany. Bo w końcu jaki jest sens udziału w głosowaniu, skoro polityczni przedstawiciele w sprawach europejskich albo produkują żenujące banały, albo zajmują się sprawami wewnętrznymi? A do tego jeszcze Parlament Europejski mimo usilnych prób i obietnic ze strony Brukseli pozostaje czymś na kształt klubu dyskusyjnego, a nie realną polityczną reprezentacją Europejczyków. Miejscem dumania i artykułowania idei pozbawionym wpływu na realną władzę. Przez wyborców słusznie jest więc postrzegany jako miejsce na polityczną, sówicie opłacaną emeryturę. Mimo to eurowybory są ważne, gdyż pośrednio określą kierunek, w którym będzie zmierzać Unia. Dla polskich emigrantów na Wyspach, którzy zamierzają głosować, przychodzi trudny czas decyzji. Nie dlatego, że możemy wybierać, czy oddamy głos na polskich, czy też brytyjskich polityków, ale głównie dlatego, że paradoksalnie polskie i brytyjskie partie głównego nurtu w sprawie UE niewiele się różnią.

Dla polskich elit politycznych Unia Europejska jest krową, która chociaż ryczy o prawach mniejszości, ochronie środowiska i genderze, to na szczęście daje się doić. Co najmniej od 2005 r., czyli od czasu, kiedy w Polsce władzę polityczną, ale też symboliczną i kulturową przejęły prawicowe elity, zaprzestano wszelkich rzeczywistych działań na rzecz głębszej integracji Unii Europejskiej, a także głębszej integracji Polski z UE czy instytucjonalnego przesuwania Polski w stronę północno-zachodniego rdzenia Unii. Próba pasożytniczego wykorzystania UE wyłącznie jako źródła pieniędzy z kolejnych perspektyw budżetowych, a także wyłącznie jako „narzędzia obrony Polski przed Rosją” to świadomy, choć ryzykowny wybór. Donalda Tuska z Jarosławem Kaczyńskim łączy dzisiaj praktyczna niechęć do euro, do unii bankowej, do Karty Praw Podstawowych, do minimalnych praw pracowniczych, roli związków zawodowych, regulacji socjalnych i rynku pracy.

Podobny pogląd na Unię mają elity brytyjskie. Dla torysów zjednoczona Europa to krowa, która daje się doić innym, a którą ciągle trzeba karmić. A do tego ryczy o regulacjach, wspólnej walucie, większej integracji i chciałaby być nie krową, lecz lwem, królem globalnej dżungli. Zarówno polskie, jak i brytyjskie elity, chociaż postrzegane zupełnie inaczej (Polacy jako euroentuzjaści, Brytyjczycy jako eurosceptycy), pogląd na Unię mają właściwie podobny. Dla obu krajów UE powinna być tym, czym była na początku. Ekonomiczną wspólnotą państw znoszącą gospodarcze bariery i regulacje. Taka wizja dominująca głównie wśród eurosceptycznych populistów powoduje, że oba kraje członkowskie zepchnięte zostały na margines szerokiej i przybierającej różne formy debaty toczącej się w Europie. Głównym motorem napędowym tej dyskusji są niemieckie i francuskie elity intelektualne, które starają się znaleźć rozwiązanie problemu egzystencjalnego kryzysu tożsamości Unii Europejskiej.

Nie da się już dłużej ukrywać za euroentuzjastyczną fasadą, że obecne instytucje Europy są dysfunkcjonalne i potrzebują przebudowy. Pytanie, nad którym zastanawiają się tęgie głowy w Berlinie i Paryżu, brzmi: co zrobić, aby demokracja i władza publiczna odzyskały kontrolę i skutecznie regulowały zglobalizowany kapitalizm XXI wieku? Społeczne, ekonomiczne i polityczne problemy UE – bezrobocie, nierówności, rachityczny wzrost gospodarczy, dojmujące poczucie bezsilności Brukseli – skutkują z jednej strony polityczną apatią potencjalnych wyborców, a z drugiej wzrostem poparcia dla prawicowych czy też skrajnie prawicowych partii w całej Europie.

UE, która w teorii powinna reprezentować 500 milionów ludzi, przestaje interesować Europejczyków. W 1979 r. w pierwszych eurowyborach wzięło udział 62 proc. z nich. W 2009 już o prawie 20 proc. mniej. Przez dłuższy czas to oderwanie Europejczyków od instytucji europejskich nie było problemem. Bruksela wdrażała technokratyczne programy bez oglądania się na społeczeństwa. Społeczeństwa zajęte były swoim życiem i nie

oglądały się na biurokratów. Teraz, po kryzysie, coś pękło. Elitaryzm UE zaczął uwierać, drażnić i przede wszystkim okazał się społecznie szkodliwy. Od Aten i Madrytu po Rzym europejskie recepty drastycznej polityki oszczędności doprowadziły do nędzy tysiące ludzi i przyczyniły się do wzrostu poparcia dla populistów. Ale nie tylko tam. Jobbik na Węgrzech, Front Narodowy we Francji, UKIP w Wielkiej Brytanii, Partia Wolności w Austrii, Duńska Partia Ludowa – wszystkie te siły polityczne, niegdyś krążące poza orbitą głównego nurtu, uzyskują dziś wysokie ponad, 20-procentowe poparcie. Eurosceptyczny populizm zasilany jest dziś przez różne społeczne obawy. Tradycyjna ksenofobia, lęk przed emigrantami i islamem to tylko elementy większej układanki, której proeuropejskie partie oraz elity nie potrafią zrozumieć. A zrozumienie realnych obaw Europejczyków, którzy UE nie ufają, to kluczowa kwestia dla przyszłości Zjednoczonej Europy.

Podstawowa przez wiele lat funkcja Unii, która sprowadzała się do zbudowania postancjonalistycznego porządku na kontynencie, jest dziś niewystarczająca. Dlatego też niemiecka grupa Glienicke oraz najciekawszy dziś chyba ekonomista, autor głośnego „Kapitału XXI wieku” Thomas Piketty proponują daleko idące reformy. Piketty postuluje uwspólnienie przez kraje strefy euro podatku CIT, co pozwoliłoby strefie euro wprowadzić programy stymulujące i inwestycyjne, zwłaszcza dotyczące środowiska, infrastruktury i edukacji. Zaleca też upowszechnienie automatycznej wymiany informacji bankowej w ramach strefy euro oraz wprowadzenia skoordynowanej polityki na rzecz bardziej progresywnego opodatkowania dochodów i majątku, a także podjęcie wspólnej, aktywnej walki przeciwko rajom podatkowym poza strefą euro. A żeby te reformy mogły wejść w życie, Piketty postuluje powołanie kolejnej izby parlamentarnej.

W takim układzie Unia Europejska miałaby dwie izby: istniejący już Parlament Europejski, bezpośrednio wybierany przez obywateli 28 krajów UE, oraz Izbę Europejską, reprezentującą

kraje poprzez ich krajowe parlamenty. Według ekonomisty na bazie krajowej suwerenności parlamentów można wykuć wspólną europejską suwerenność parlamentu. Czyli na powrót zdemokratyzować UE. Nie rozwiąże to wszystkich problemów Europy, ale spowoduje wyjście z politycznego impasu. To ciekawe propozycje, których opinia publiczna zarówno w Polsce, jak i w Wielkiej Brytanii nie miała szansy usłyszeć. A szkoda. Debatę na temat politycznych instytucji Europy zbyt często odkładano na bok jako techniczną czy drugorzędną. Jednak odmowa dyskusji nad organizacją demokracji ostatecznie oznacza akceptację omnipotencji sił rynkowych. A to nie byłoby dobre ani dla UE, ani dla Europejczyków.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)